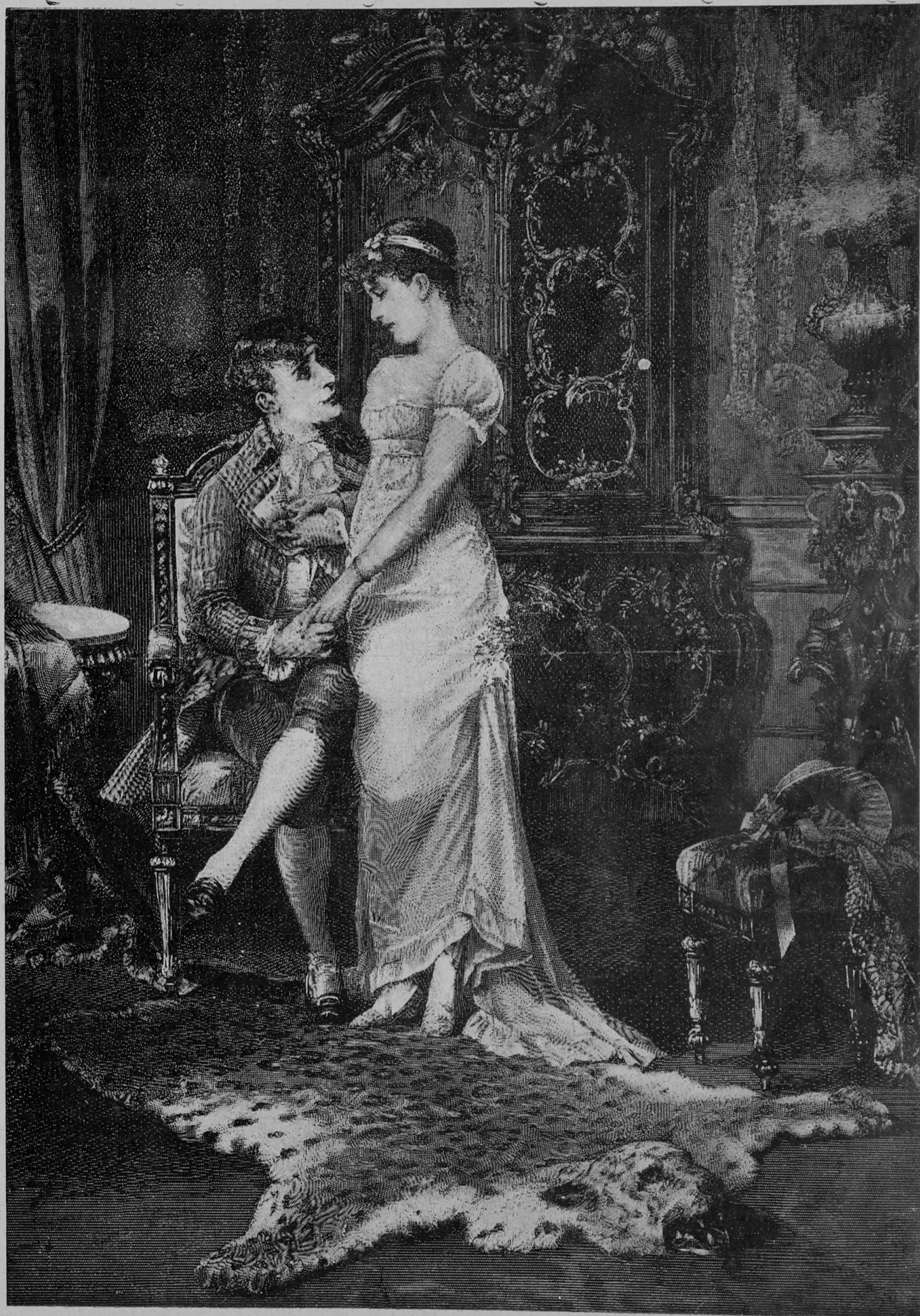


# ZIARNO



E. SCHWEININGER.

CICHE SZCZĘŚCIE.

# KARNAWAŁ.



Wyras pochodzi od słowa włoskiego „carnevale“ i oznacza pożegnanie potraw mięsnych przed czterdziestodniowym postem. Czekające chrześcijan zmartwienie starano się nagrodzić zabawami i ucztami w okresie poprzedzającym post od Trzech Króli aż do środy popielcowej. Później ograniczono jednak czas ten do 7 lub 3 dni przed popielcem, aż znów w czasach najnowszych przyznano karnawałowi byt dłuższy.

Niewątpliwie zawiera w sobie karnawał pierwiastki z czasów pogańskich, z obchodu tak zwanych bacchanalji i luperkalji, pochodów i wesół z muzyką, tańcami i śpiewem, którymi święcono początek wczesnej w krajach południowych wiosny. Z tych obrzędów zachował się w Włoszech zwyczaj obdarzania się gałkami zielonemi oraz ustawiania przed domami świerków. Przypomina to grecki thyrsos, laskę owiniętą bluszczem i liściem winnem, zakończoną baską jodłową, którą nosili uczestnicy i uczestniczki bacchanalji w swych igrzyskach. Tak samo sięga starożytnych czasów zwyczaj przebierania się i maskowania podczas zabaw, w czym znów tkwi chęć intrygowania osób i przyjaciół, którym trudno domyślić się pod fantastyczną szatą znajomych osób.

Karnawał w najświetniejszej swej formie zachował się w Włoszech. Tworzył on długodniowe święto ludowe, w którym brały udział wszystkie warstwy mieszkańców. Przepychem i wspaniałością tych obchodów odznaczała się najpierw Wenecja, później Rzym, a w końcu Medjolan, gdzie zabawy, zwane carnevalone, przeciągały się aż do niedzieli po popielcu. Obecnie urządzają w tym czasie publiczne uroczystości także i miasta katolickie w południowych Niemczech, jak: Kolonja, Moguncja i Monachjum, oraz Szwajcaria, Francja i Hiszpanja.

U nas w Polsce stosownie do stanu temperatury karnawał z konieczności w innej objawiał się formie. Zimno nie pozwalało na zabawy publiczne pod otwartym niebem, kryły się więc obchody mięsopustne pod dachy możnych i na sale miejskie. Jedynie przejazd sankami na miejsca zmieniających się stale zabaw, utrwalił się u nas pod nazwą kuligu i zachował cechy maskowanych pochodów południowych.

Obecnie i ten zwyczaj należy już do przeszłości, a miejsce jego zajęły bale i tańce, czy to w domach prywatnych, czy na salach publicznych.

Zastanawiano się przez czas pewien, czy wogóle nam Polakom przystoi się bawić, gdy kraj cały winien raczej powszechną być pokryty żałobą. Lecz prawa młodości i chęć użycia swobodnego w pewnym okresie roku okazały się silniejsze niż rozumowania polityczne i społeczne. Zresztą właśnie w chwili najwięk-

szych klęsk i najczarniejszego smutku szalała Polska w uciechach i wesołach, jakby chciała zagłuszyć ból, gryzący sumienia i serca. Był to rozpaczliwy wysiłek przytłumienia powszechnego żalu, po którym tem dotkliwsze nadchodziło rozczarowanie.

Więc, gdy i tak natura ludzka wzdrygała się przed ustawicznym smutnem rozpamiętywaniem, gdy rozpuściła i orgje zajęły miejsce godziwych rozrywek, zgodzono się na to, że młodemu wiekowi przystoi pohasać i potaćzyć przez czas karnawału, aby potem tem szczerzej i chętniej zabrać się do pracy i naprawy losu społeczeństwa. Oprócz tego wysunięto jeszcze jeden powód, zawierający w sobie przyzwolenie na uciechy i bale zapustne. Tańczono i bawiono się — na dobry cel.

Społeczeństwo ma tyle potrzeb, tyle wykazuje niedomagań, tyle mieści w sobie nędzy, że zabawy publiczne, połączone z zamiarem zebrania funduszków na otarcie łez i zasilenie rozmaitych zakładów dobra publicznego, nabierały znaczenia przedsięwzięcia dobrowolnych. Taka jest już natura ludzka: człowiek chętniej da większą sumę przy zadowoleniu swych egoistycznych popędów, niżby miał pełnić groszem uczynki miłosierdzia w cichości.

Wreszcie uważa się obecnie w czasie gorączkowej pracy i zabiegów dokoła dobra osobistego i publicznego, bale i zabawy jako jedyne miejsce spotkania się młodych, zaznajomienia dwu płci i zawiązywania stosunków trwałych na przyszłość. Przytem i starsi mają sposobność zawarcia i odnowienia więzów, któreby mogły przynieść pożytek społeczeństwu.

Jednem słowem daliśmy prawo bytu zabawom, gdy łączy się z nimi pożytek społeczny i dobro publiczne. Lecz jeżeli już zgoda na to, jeżeli przyznaliśmy młodemu słuszność rozrywki i zabawy, a starszym chcemy dać możność spotykania się i rozweselenia stroskanego oblicza, to niech te bale i tańce mają prawdziwą cechę swobody i wesołości, niech chociaż na chwilę spędzą chmurę smutku z naszego czoła, niech młodemu pokoleniu dadzą sposobność wyhasania się do woli w godziwych i przyzwoitych granicach.

Czy tak jest obecnie?

Zdaje się, że wszystkie nasze zabawy i bale publiczne mają raczej tylko pozory wesołości. My nie bawimy się, lecz podniecamy sztucznie. Dość wsłuchać się w ton polskiego wesela, aby wyczuć jego fałszywe i zgrzyty. Chęć olśnienia ubiorem i ozdobami góruje u kobiet nad szczerą chęcią do tańca; ukryte cele lub źle maskowane znużenie wiedzie korowód młodzieży męskiej na salę.

Całe nasze młode pokolenie rozpoczyna swe występy publiczne z pękniętą sprężyną w duszy, która za-

łamuje się pod lada naciskiem. Dość przeczytać w szale uciech — rubrykę samobójstw i czynów desperackich. Mówią one groźne memento sztucznym gestom i wysiłkom bachicznym. Chcemy bawić się i szaleć zbyt hucznie, zbyt po pańsku — a ten nadmiar chęci i zmysłów łamie i niszczy życie.

Bawimy się pod osłoną „dobrego celu“ za dużo i hałaśliwie. Chociażby na Warszawę, ośm wielkich balów publicznych w jedną noc, to stanowczo za dużo. A przytem rozpoczynamy zabawy za późno i za późno je kończymy. Niewątpliwie należy się ciału po wysiłku spoczynek dłuższy, lecz my odpoczywamy całą dzień, aby z nastaniem nocy rozpoczynać ten anormalny byt na nowo.

A co odbiera naszym zabawom cechy prawdziwej wesołości, to nadmierny, grzeszny zbytek. Panoszy się on wszędzie i nigdzie — może życie nad stan polaka nie ujawnia się tak jaskrawo, jak na naszych balach na cele dobroczynne. Ostatnim wysiłkiem stroji matka swą córkę lub siebie na pokaz publiczny, ostatni grosz wydaje młody człowiek na szampana, aby

„zaimponować“ otoczeniu, nic dziwnego więc, że po krótkim szale szybko następuje rozczarowanie i wykazują się dotkliwie braki — w budżecie. Bałe pozostawiają po sobie gorzki smak w ustach i pustki w kieszeni.

Zgodziliśmy się na wesoły karnawał z jego tańcami i zabawami. Lecz nie szukajmy upustu naszych chęci w wątpliwych szalach zapomnienia i sztucznych podniętach, lecz w zdrowej, szczerzej, nawet buńczucznej wesołości. Nauczmy bawić się nie frasośliwie i skromnie; nie starajmy się błyszczeć i imponować, lecz weźmy przykład z festynów i pochodów dawnych, gdzie uboższy miał miejsce obok zamożniejszego i prawdziwego w nim znajdował towarzysza wesołości.

Gdy w życiu codziennym będziemy silni, trzeźwi i rozumni, nauczmy się w święta bawić niefrasośliwie, ochoczo i serdecznie. A wtedy nie krew i obłęd będą skutkami sztucznych szalach, lecz powrót do obowiązków i powszedniego życia połączy się z miłym wspomnieniem wesoło i zdrowo spędzonego polskiego karnawału!

W. G.

## Z „Szopki warszawskiej” Or-Ota

CZĘŚCI 4-tej „STARE MIASTO“.

Małgorzatka.

*Słuchać trąbek fanfary,  
Jadą z góry huzary,  
Chorańki migają,  
Siwe konie parskają,  
Dzwonią dziarskie piosenki,  
Pewnie jadą z wojenki,  
Gdzież ja tutaj dostoję?  
Skoczę... konie napoję...*

Huzar.

*Stój, dziewczyno, kalino,  
Do nas biegnij!*

Małgorzatka.

*A ino!*

Huzar.

*Czemuż nam tak rada?*

Małgorzatka.

*Boście tacy, jak z baśni,  
Tacy dzielni i jaśni,  
Że aż serce przepada —  
I dlatego tak mili,  
Boście mężnie walczyli.*

Huzar.

*Bóg ci zapłać, dziewczyno,  
Polny kwiecie różany,  
Za krew naszą, za rany  
Miodem słówka twe płyną.*

Małgorzatka.

*A powiedzcież, wojaku,  
Jak to bywa na wojnie?*



Huzar.

*Na koniku, na ptaku  
Lecim strojnie i zbrojnie;  
Świszcze kula zdradliwa,  
Pierś huzara przesywa,  
Grzmią na wiwat armaty,  
Koszą chłopów jak kwiaty.*

Małgorzatka.

*Święty Boże na niebie!  
Któż ich płacze? Kto grzebie?*

Huzar.

*Wierny konik wedle niego,  
Grzebie nóżką, żałuje go,  
Kamrat pojrzy zdaleka, —  
Jego jutro to czeka —  
Do widzenia kolego!...*

Małgorzatka.

*I już koniec wszystkiego?*

Huzar.

*Nie płacz, dziewczę! Nie zginą  
Ci, co legli w wojence;  
Będą żyli w piosence  
I w twym sercu, dziewczyno!*

Małgorzatka.

*Niechaj Bóg was obroni!...*

Huzar.

*Już pobudka mi dzwoni,  
Dźwięki trąbki w dal płyną...  
Bywaj zdrowa, dziewczyno!...*

## Polska sztuka plastyczna.

### III.

Sztuka polska zastygła w ciasnych ramach malarstwa cechowego w Krakowie i od tej pory aż do czasów najnowszych nie widać rozpędu twórczego w tym kierunku w Polsce. O ile wypada potrzeba namalowania portretu lub obrazu albo wykonania rzeźby, sprowadzali królowie obcych artystów, jak: Dollabelich i Baciarellich, lub zamawiali sobie dzieła sztuki za granicą.

W zaraniu twórczości artystycznej w Polsce zakonnicy i majstrzy cechowi wzory brali od obcych, z Włoch, Niemiec lub z wschodu. Sztuki rodzimej, któraby wyszła w skromnych chociażby zaczątkach z narodu naszego, nie posiadaliśmy. Nie mamy jej i dzisiaj, nie tworzymy tak zwanej szkoły malarstwa polskiego. Zawsze działały nań obce pobudki, a jeszcze przed siedemdziesięciu laty, kiedy Francja i Niemcy wrzały od walki klasyków malarskich z romantykami, panuje u nas spokój i bezpłodność w kraju. Taki Lesser, Suchodolski, Stattler, Hadziewicz, Kaniewski i in. tylko tytułami swych obrazów i podpisami okazują, że są malarzami polskimi. Wszyscy oni wprowadzają nam obce żywioły i obce wzory do Polski.

W kilka lat później zjawia się na widnokręgu europejskim wielki portrecista, Henryk Radakowski, zdobywając w salonie paryskim w roku 1852 medal złoty, najwyższą nagrodę, jaką artysta mógł otrzymać w stolicy Francji. Jest on talentem wyjątkowym w czasach, kiedy Kaniewski po profesorsku

maluje papieża Grzegorza XIV, Lesser przynosi żywcem na nasz grunt pojęcia, cele i charakter sztuki niemieckiej, a January Suchodolski jest ślepym naśladowcą francuza Verneta. Poza tem Smokowski jest lekarzem, malującym dla wypoczynku, Piotr Michałowski szkicuje piękne akwarele, lecz uważa to za pańską rozrywkę —zaledwie za sprawą Piwarskiego i Kornela Stattlera zaczyna się w połowie zeszłego wieku budzić sztuka u nas, młoda, nieśmiała, niepełną z potrzeb społeczeństwa, któremu służyć miała, lecz odbijająca jedynie obce prądy pod niebem polskim.

Jutrzenką, zwiastującą narodziny sztuki u nas, widzimy w latach 1854—1857. Młodzi artyści, którzy wtedy albo ukończyli szkołę sztuk pięknych w Warszawie albo powracali z zagranicy do kraju, z Włoch i Francji, zabrali się do pracy i zaczęli tworzyć obrazki, w które metodą obcą swojskie kładli motywy. Przebiegali kraj z kijem wędrownym i notowali typy i miejscowości. Prawie jednocześnie zapoznał się ogół z nazwiskami: Gersona, Kossaka, Szermentowskiego, Simmlera, Kostrzewskiego, H. Pillatiego, Gierdziejewskiego.

Są to artyści, którzy, wyuczani u obcych, pierwszy przemówili do ogółu językiem zrozumiałym. Że działalność ich nie wydała trwalszych plonów dla następnego rozwoju malarstwa polskiego, tłumaczy się nieuprawną, nieledwie dziewiczą glebą, na którą wstąpili.

Odtąd rośnie liczba malarzy polskich; obok znanych, wielkich mistrzów grupują się zastępy zdolnych twórców, którzy z zapałem pracują na niwie piękna. Lecz dopiero gdy nie będziemy potrzebo



Fr. Żmurko.

Pieśń wieczorna.

wali szukać wiedzy w Monachjum, Rzymie i Paryżu, gdy wykształcimy u siebie nowe pokolenie artystów, owianych jednym duchem, postępujących własną drogą, stworzymy szkołę malarstwa polskiego, której mimo wielkiej ilości malarzy, dotąd nie posiadamy.

Po Rodakowskim, który przeważną część życia swego spędził w Paryżu i tam portretami swymi zasłynął, którego zaś obrazy historyczne na tle polskim nie doznały u nas zbyt gorącego przyjęcia, na widownię rodzimą wypłynął genjusz Jana Matejki. Sam on w sobie tworzy epokę, sam potężną, spoistą całość — jako pierwszy i jedyny malarz historyczny w Polsce. Na rozwój jego natury artystycznej, jednej z najbogatszych i najodrebniejszych w dziejach malarstwa wogóle, nie wywarły żadnego wpływu ani czas, ani otoczenie, ani prądy panujące. Wyrósł niby dąb olbrzymi na polanie, samorodny, czerpiący swe soki bezpośrednio z ziemi, na której stanął nagle, niepoprzedzany żadną przepowiednią. Naturą swego talentu zbliżał się raczej do malarzy z czasów rozkwitu sztuki włoskiej i hiszpańskiej, w całej pełni jej barw, życia i rozmachu, aniżeli do artystów zrodzonych pod szarem i chłodnym niebem Polski. Najznamienniejszych cech naszej sztuki, uczuciowości i smutku, ani śladu nie spotykamy u Matejki. Artysta nigdy nie stara się o rozrzewnianie widza; jego bohaterowie są istoty silne ciałem i duchem, twarde i śmiałe w wyrazie, a jeżeli z czoła Stańczyka widnieje zaduma, jestto raczej rys pokrewny postaciom nadludzkim Michała Anioła, aniżeli smutek polski.

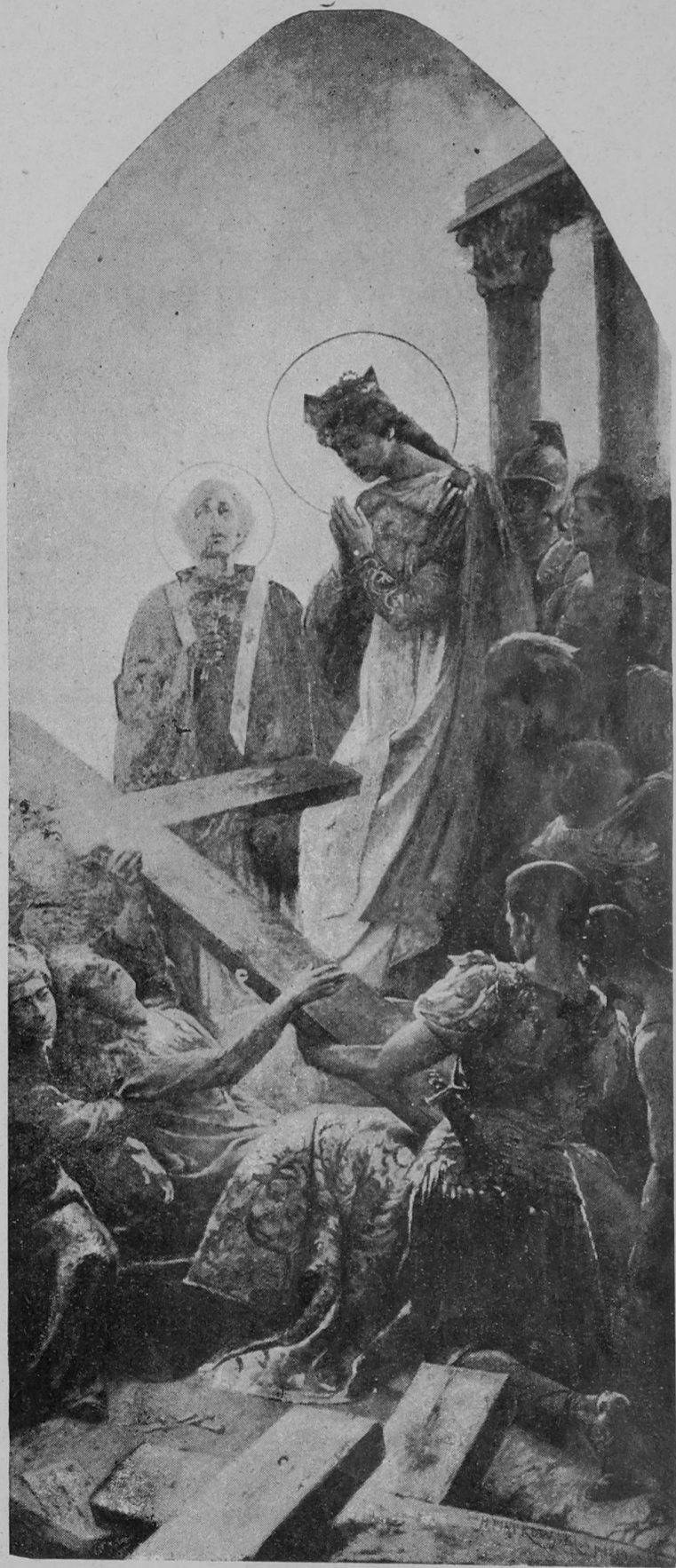
Matejko kształcił się w Krakowie i przez czas krótki w Monachjum. Ani jedno, ani drugie środowisko żadnego nań nie wywarło wpływu. Świat, o którym marzył jako młodzieniec, a który przez lat trzydzieści swej genialnej twórczości zaludnił wspaniałymi postaciami, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością powszednią. Jest on jego dziełem wyłącznym, niepodzielnym, osobistym. Jak Dante, tworząc „Boską komedję“ kreślił obrazy widziane w głębi swego ducha, tak i Matejko malował w duszy swej odbite i przeczute sceny i postacie. Wskrzeszając przeszłość przedwiekową, wybrał odrazu właściwą dla siebie drogę: mógł niekrępowany roztaczać skarby swej bujnej i potężnej natury artystycznej.

Matejko rozwijał się i tworzył wspaniałe swe utwory malarskie poza ruchem, powstałym w jego epoce w dziedzinie sztuki. Był zawsze sobą, znał swoje cele, i nie troszczył się o zmiany kierunków, walczących zajadle z sobą, następujących po sobie z niebywałą szybkością.

Jak dalece był oryginalnym, świadczy fakt, że najbardziej wykształcony w sztuce naród francuski go nie rozumiał. Otrzymał w Paryżu liczne odznaczenia i zaszczyty, chylili przed nim czoła uczeni, podziwiając genjusz, którego pełni byli mistrze odrodzenia jak: Tintoretto, Paweł Veronese, Rubens,

lecz nie porywał on ogółu, który potęgi i plastyki jego malarstwa historycznego pojąć nie umiał.

Jestto objawem całkiem naturalnym. Do obcych nie mógł przemówić gest Rejtana lub duch Skargi, mógł ich tylko 'olśnić przepych barw i doskonałość rysunku, którym należy hołd oddali.



A. Piątkowski.

Znalezienie Krzyża Św.

Lecz u nas, od pierwszej chwili jego twórczości na tle grodu podwawelskiego, odczuto go i zrozumiano i postawiono jednomyślnie na pierwszym miejscu. Rozgłos i uznanie w kraju zawdzięcza nieznanemu, a tak drogiemu polu, które wybrał na niwę swej działalności artystycznej. Matejko, jak nikt

inny przed nim i po nim; umiał wskrzeszać ubiegłą przeszłość żywą, prawdziwą, gorąco odczuta, wybierając wspaniałe chwile minionych czasów, powołując do życia wielkie postacie naszej historii. Od „Kazania Skargi“ do „Jana Sobieskiego pod Wiedniem“ to jeden ciąg niesłychanych objawień, a każdy obraz to nowa karta dziejów, zaklęta w plastyczną szatę ręką potężnego mistrza.

Ogół go cenił i kochał, bo artysta wskrzesił mu w formie najwspanialszej jego ideały, jego tęsknoty, jego ukochane tragedje. Wszedł nagle i zaświecił niby słońce na niebie sztuki polskiej, porywając i olśniewając swym genjuszem. Nie miał ani poprzedników ani następców w Polsce, ani pokrewnych nawet talentów w sztuce wszechświatowej; od pierwszego brzasku swej twórczości, aż do deski grobowej ani na chwilę nie przestał Matejko być sobą.

T. W. J.



PIOTR JAXA BYKOWSKI.

PAMIĘTNIKI WŁÓCZĘGI.

## MYSZURES.

(C. D.).

Stary opuścił głowę, szeptał pacierze, a łyzy gęste, duże, toczyły mu się po zoranych policzkach. A skoro już żal pierwszy przeminał, zdjąwszy klucze od pasa, wręczył je młodzieńcowi, mówiąc:

— Świeć, Panie, nad duszą starego jegomości, a że wy już teraz nasz pan, więc oddaje wam te klucze, tak jakście mi je powierzyli z rozkazu nieboszczyka jegomości przed laty.

Podczas całej rozmowy i powitania, pułkownik burczał swoim zwyczajem i groził sądem wojennym, lecz młody z starymi, zajęci z sobą, jakoś na to nie zważali. Lecz skoro ujrzał ceremonję wręczenia kluczy przez starego, wnet zawołał:

— A co, smyki, nie mówiłem, że twierdza nie ostoi się i kapitulować będzie? Klucze już oddają... Poruczniku Krzucki! masz waść rozkaz zająć twierdzę z wojskową amunicją i wszelkimi zapasami, dla rzeczypospolitej francuskiej, w imieniu naczelnego wodza, obywatela, generała Bonapartego...

Tymczasem i gawiedź wiejska, widząc jak jeden z przybyłych gości ścisnął się serdecznie z starszami, przestała się obawiać orszaku i często kół dworku otoczyła ciekawie. Nawet przodujących orszakowi, a nie po ludzku wyglądających, uznała

za nieszkodliwych, gdyż człek ów czarny, dziwacznie ubrany, dobrodusznie i głupio ale nieszkodliwie poglądał na otaczający go tłum. Co zaś do owej bestji śmiesznej, która była sobie po prostu małpą, dziatwa wiejska wkrótce się z nią pogodziła. Gdy zaś śmielszy z dzieciaków ofiarował jej własny ziemniak, a małpa za ten przysmak pięknym odwdzięczyła się skokiem i grymasem, nie posiadała się dziatwa wiejska z radości i dobra harmonja zawiązała się od razu. Zapewne pierwsza to była małpa od stworzenia świata w lasach poleskich; szczęśliwe dzieci, co ją oglądały. Z czarnym człowiekiem nie wiedziały wprawdzie co robić, ale że ten nie skakał, łapy po łakocie nie wyciągał, a trzymał się z dala, z właściwą wschodnią obojętnością, więc i z nim się dziatwa oswoiła.

Zjawiła się i załoga twierdzy, jak pułkownik przepowiadał: kobiety i starcy, pozostali w domu, dowiedziawszy, się co się święci, a szczególnie niewiasty, pospieszyły witać swego panicza, którego dzieckiem jeszcze widziały; jedna przed drugą wyprzedzały się w uściśnieniu kolana, ucałowaniu rąk, a przytem prawily, kiwając głowami:

— A jak panicz urósł... jaki krasny... pewno nam panicz i panią przyprowadzi...

Jedna i druga pobiegły copędzej do chaty, a co tam miały gotowego, czy w piecu, czy w komorze, przyniosły paniczowi na gościniec. Wszyscy łyzy radości mieli w oczach. Był to bowiem jeszcze ów czas błogi, kiedy serdecznej spójni pomiędzy dworem a ludem nie przecięły złowieszcze podszepty. Uroczystość była żywa, a niekłamana, jakiej dawno wioska nie pamiętała.

\* \* \*

Krzucki zabrawszy syna jedynaka z kolegum łuckiego, udał się na posłowanie, na sejm czteroletni do Warszawy.

Wziąwszy na ambit, szczupłymi funduszami począł paraliżować matactwa i intrygi panów. Zaciągał na ten cel długi, wydawał obligi na prawo i na lewo, notował to wszystko w raptularzyku, kalkulując, aby tylko jego fortunka na opłacenie kredytów starczyła, o resztę zaś nie dbał, nie pytał. Parę razy prosto z mostu ozwał się na sali sejmowej, ale umilkł zagłuszony przez zawołanych mówców, a zresztą sprzykrzył sobie tę robotę.

Syn tymczasem chadzał na salę sejmową jako widz i kształcił się przysłuchując się biegłym oratorom i statystom.

Poseł trzymał towarzystwo z ludźmi dobrej woli, ale skromnymi; na pańskich salonach nigdy nie postać, żył sobie ubogo w jakimś kąciku i o żadnym wyniesieniu się nie myślał. Najmilszą dlań kompanją byli ludzie wojskowego rzemiosła; tych garnął koło siebie, chwycił skrzętnie od nich każdy znak i przepowiednię przyszłej wojny, słowem należał do tej części narodu, która pokładała większe nadzieje w oręż, niżli w wszystkich dyplomaty-

czynnych rokowaniach. Kto wie, coby z tego wynikło, gdyby intrygi i knowania możniejszych nie paraliżowały dobrych chęci patriotów.

Z pomiędzy ludzi wojskowych, otaczających posła, najczęściej przypadła mu do serca niejaki Hamaniec, tytułujący się pułkownikiem. Gdzie się bił? próżne byłoby pytanie; trzebaby zapytać, gdzie się nie bił, jeżeli po temu zdarzyła się sposobność? Bo gdy jej zabrakło w kraju, szukał u obcych, byle się bić, byle ręka nie zesztyniała. A skoro tak niefortunnie wypadło, że okazji zabrakło, to nudząc się i klnąc swe przeznaczenie, nasłuchiwał obiema uszami, skąd się ozwie trąbka wojenna.

Może to dziś trudne do pojęcia, iż byli tacy ludzie rycerscy, działający nie dla zysku, bo wymagań prawie nie mieli, a żywot wiedli zbliżony do mniszej skromności. Jakaś krewkość i duch wojowniczy zapalały ich wyobraźnię do bohaterских czynów... Dośćby na ten dowód spojrzeć na niedobitków wielkiej armji Napoleona już po jej upadku, jaką cześć, bałwochwalczą iście, zachowali dla swego bohatera: każdy umierał z uwielbieniem dla pokochanego wodza i z czcią dla wielkiej armji. Pytanie: czyliż bez tego rycerskiego usposobienia w społeczeństwie, w innym czasie, naprzykład naszym, zgromadziłby Napoleon siłą własnego genjuszu takie bitne wojsko?

Hamaniec był dzieckiem wojennem swojego czasu: szeroki, rubaszny, odważny, nie dbający ani o swój dobrobyt, ani o swoją skórę. Nie wiedział zresztą, co się dzieje na świecie; wietrzył wogóle wojnę, bo czuł jej potrzebę dla siebie. Ażeby ją usprawiedliwić politycznymi widokami, było to za wiele wymagać od tej żołnierskiej głowy, nieprzewidującej dalej nad koniec szabli, kierowanej wojskową powinnością... Skąd się wziął i kiedy, a któż powie? kiedy on sam się nad tem nie zastanowił. Miłował kraj, bo za niego bić się można było, o resztę nie pytał.

Przypadła do serca ta prosta, serdeczna w swoim rodzaju natura naszemu posłowi; a gdy się już zbliżyli i pobratali, mawiał mu nieraz Hamaniec:

— To psie rzemiosło, mosanie, owe sejmy: ludzie szcękają i odszcękają sobie jak jakie psy... Azaliż nie stokroć szlachetniej i słuszniej byłoby, ażeby wszyscy, co tam gardłują, a jeszcze do gardłowania innych najmuja, poszli, wybili się z kim trzeba, a kto plac otrzyma, to i wygrał.. Dobrze to może dla smyków niemieckich, żeby tam dysputowali, ale ludziom statecznym to nie przystoju. Ot, wiesz co jegomość, chodźmy na wojnę...

— A gdzież jej szukać?

— Po świecie, nie tu, to tam, a zawsze są gdzieś poczciwcy, co się biją.

— Już co do mnie, na obce wojny się nie piszę, bo co to mi za rzecz szlachecki łeb za jaką szwabską sprawę nadstawiać.

— Zawsze ręka się rozprostuje i sztuki jakiej człek się poduczy, ale kiedy taka wola waszmości, to zgoda — i ja poczekam... a choć się nie znam na dyplomacji, ale powiadam jegomości, że wojna rychło będzie; nie z gabinetowych knowań ja zapowiadam, ale z węchu, co mnie nigdy nie zawiodł: raz, że czuć proch w powietrzu, a potem, psy wyjąc, trzymają pysk do góry; to już nie chybi.

Odtąd poseł chadzał sobie na sesję sejmowe jak zawsze, a Hamaniec gdzieś latał, sznurkował, przepadał niewiadomo gdzie, a gdy się zjawił, to zawsze z obietnicą rychłej wojny.

Tak nakoniec wygadał swoje, bo jak wiadomo, wskutek rozmaitych wydarzeń sejm zerwano i wojnę rozpoczęto. Wszyscy dopiero byli w swoim żywiole, nie mówiąc o Hamańcu i posle, ale najbardziej młody Krzucki, któremu pilno było pierwszy rycerski chrzest odebrać; a ten mu czekać na siebie nie dał, bo z wojowniczej trójcy on jeden ranę odebrał, którą mu opatrujący Hamiec, tak pocieszał:

— W czepkuś się rodził, bo w pierwszej wyprawie rana, to dobry znak, byleby głowy nie urwało, bo wtedy już z człeka tabaka w rogu i adju...

Wiadomo, jako niefortunnie spełził ten heroiczny wysiłek narodu. Niewiadomo, gdzie jakieś lat parę nasi bohaterowie przebyli; dopiero ukazali się na widowni pod Raclawicami, gdzie poseł od kuli armatniej mając rękę urwaną, mężnego ducha wyzionął.

Było to po bitwie, w ambulansie, kiedy dogorywającego doglądali Hamaniec z synem. Przed ostatnią chwilą, zbierając sił resztę, poseł przemówił:

— Z mojego trupa zdejmiecie rejestr moich długów, mam to zaszyte na piersi, w torbie skórzaney. Jest tam odpis wierzytelny każdego wekslu i obligu, wystawionego przeze mnie, a żadnego nie pominąłem... Czasy ciężkie po wojnie, z dochodów wypłacać nie podobna. Biedni ludzie za długoby na to czekali, nim się gospodarstwo ureguluje. Kraj przez wojnę wycieńczony i zrujnowany, więc przystąpcie zaraz do podziału ziemi. Ciebie, Hamaniec, upraszam i ustanawiam na kuratora masy... Jest tam wieś mojej żony, ta własnością syna, więc jej długiem nie obciążylem, czysta mu zostanie... Opiekę nad synem powierzam ci, prowadź go dalej po tej drodze rycerskiej. Nie masz jak bić się, bo człek taki kiedyś dobije się do tego, iż mu kulka świsnie i zamknie oczy na świat i jego podłości... Nie bawcie długo nad moim ciałem. Jeżeli czas pozwoli i nieprędko marsz otrąbią, to je zasypcie ziemią, a jeżeli nie, to i tak gdzieś tam doczekają się kości moje sądu Pańskiego... Obyście byli szczęśliwymi zwycięscami, bo zaprawdę, czas nam wielki!...

I skonał na polu chwały, ten ziemianin-rycerz, jako ich wielu dawniej kończyło. Że wojsko obozowało jakiś czas po bitwie, Hamaniec i młody Krzucki oddali ojcu przyzwoicie ostatnią przysługę, a stary wiarus tak pocieszał żal synowski:







EUGENJUSZ V. BLAAS.

TĚSKNOTA.

— Widzisz na wojnie, to człek jest jak owe ziarna w garści siewcy, co to wszystkie paść muszą na rolę, a niewiadomo które pierwsze, a które po niem... ale plon z nich zawsze wzejść musi!

Pochowawszy ojca, wymaszerowali dalej z wojskiem, aż z smutnej kolei natrafili na ostatnią w tej kampanji bitwę pod Maciejowicami, gdzie też ostatnie pierzchły nadzieje. Dwaj nasi wojacy, chociaż się bili jak lwy, a w najgorętszym znajdowali się ogniu, wyszli cali i wolni, co zapewne zawdzięczali przezorności Hamanca. Młody w ciemną po-grążył się rozpacz, która razem ogarnęła ogół, patrzący na ruinę gmachu najświetniejszych marzeń. Lecz Hamaniec, o ile w bitwie nieustraszony, na skutki jej zawsze obojętny, pocieszał:

— Widzisz, synku, wieleśmy nabroili i sprawiedliwość boska chce nas w piekle trzymać, a płomienie czeluści gorejących gaszą się tylko krwią; kiedy potrzebną jej ilość dolejemy, to i nam lepiej będzie. —

Tymczasem, za powrotem ludności wiejskiej z robót w polu, gruchnęła nowina radosna o powrocie młodego pana, wprawdzie zachmurzona nieco wieścią o śmierci starego jegomości. Lecz cała gromada przysła powitać młodego dziedzica; z łaski Michała znalazł się poczęstunek w dawnych piwnicach, zjawił się jakby wypadkiem i grajek wiejski i weselono się do późnej nocy.

Skoro się Hamaniec uspokoił w tryumfie swego zwycięstwa, Michał zapragnął zdać sprawę nowemu dziedzicowi z kilkunastoletnich rządów jego dobrem, wprawdzie prostych i niewymyślnych, ale uczciwych. Michał z swoją matką, byli najstarszymi sługami rodziny Krzuckich. Staruszka była jeszcze panną pokojową babki obecnego dziedzica. Im to zawsze w czasie wypraw powierzał pan rządy najwyższe swego mienia. I wtedy, kiedy Michał pozostał zastępcą pańskim, w pierwszym roku jego niebytności prowadził jak umiał gospodarstwo rolne, lecz na drugi rok przekonawszy się, iż temu nie podoła, sprzedał inwentarz żywy, wydzierżawił dochody gotowe i ziemię, a grosz jaki tylko wpływał, składał w pewnym miejscu, podnosząc cegielkę w podłodze. Sam z matką wiele nie potrzebował i tego im dostarczali liczne wnuki i prawnuki, hojnie przez panów zaopatrzeni. Zatem, gdy się już Florjan rozgościł, stary sługa, wiedząc go do komory, odłożył cegielkę, a wskazując otwór napelniony monetą, rzekł:

— To jest, panie, co z waszego dobra zrobiłem, przez czas mojego gospodarowania, a za waszej niebytności. Możeby rozumniejszy zrobił więcej, ale mnie, prostaka, na tyle tylko stało; to wasze dobro, zachowajcie je w pewniejszym miejscu.

— Tak, ale wy, dobry Michale, pracowaliście; sprawiedliwość wymaga, abyśmy się tem podzielili.

— A właśnie, żem nic nie robił, bo już i siły nie po temu, paniczku, a skąd jaki grosz kapnął, to

ja go pod cegłę, ot, tak się tam tego uciulało. A co do nagrody, to już ona się nam od was, panowie, nie należy, już moje wnuki, a praprawnuki żyją waszym chlebem, któregoście im nie poskapili... Nie krzywdcie mojej starości, aby mię nagradzać za to, do czego pracy nie dołożyłem i com czynić był winien.

Skoro się przybyli rozgościli, jakoś i domek przygarbiony i zrujnowany, orzeźwiał i poweselał.

(c. d. n.).



## Wieści z Florencji.

*Firenze la bella e piena di fiori* — szczerze tak o niej mówić można. Piękna bo jest Florencja i pełna kwiatów, nie dziw że latem, ale nawet przy końcu grudnia pokryta pełną jeszcze zielenią i róż przepysznych w ogrodach mnóstwo, u przekupniów pęki z nich całe za kilka dostać można susów.

W czarującym tym mieście poezja wszędzie łączy się z sztuką. Ludzie są mili, sympatyczni, nie tak krzykliwi jak włosi z południowych części Italji. Coraz też liczniej na zimowy pobyt zjeżdżają się obcokrajowcy. Obecnie dość znaczny ruch polskich gości skupia się dokoła twórczyni muzeum ludoznawczego z Poznania, p. Heleny Cichowiczowej.

Schodzimy się wieczorem raz w tygodniu i zabawiamy przyjemnie, miejscowi też poeci nasi raczą nas deklamacją, a pięknymi pieśniami p. Wiesława Cichowiczówna, kształcąca się u znakomitego profesora włoskiego Brogiego, którego kompozycje obecnie największy mają rozgłos w Włoszech.

W tych dniach byliśmy na wystawie obrazów futurystów. Salon stanowczo świadczy o wyraźnym zboczeniu umysłowym najnowszego kierunku w malarstwie. Orowadzali nas po sali sami „artyści“, a często nie umieli objaśnić, co właśnie obraz ten lub ów przedstawia. Mimo to twierdzili stanowczo, że są genjuszami i przyszłość do nich należy. Jakoś jednak byli zażenowani, kiedy na odejściu mówiliśmy im, że czempredzej pobiegniemy do Pitti i Uffici, bo jeżeli ich przepowiednie się ziszczą, to może za przyszłej naszej bytności Rafaela i jemu podobnych już nie zastaniemy!...

Przed kilku dniami futuryści znów chcieli poezje swoje deklamować w teatrze im. Verdi'ego. Ludzi zeszło się około 8 tys., głowa przy głowie i pań dużo, artystów i studentów; jeden drugiemu siedział na ramieniu, takie było przepełnienie. Wrzask i hałas wszczynali tak niesłychany, że recytatorzy zu-

pełnie do słowa dojść nie mogli. Komiczna to była scena kiedy przywódca ich Marinetti, choć gestykulacją chciał dać poznać treść swej przemowy, a tu natychmiast słuchacze zarzucili go gradem fasoli, orzechów, kartofli, ba, nawet sardynek itd. W końcu nawet poduszki i płaszcze padały na scenę, a biedni futuryści — kilkunastu zawsze ich było na scenie — mężnie pociski te znosili i pot rześcicie kapiący z czoła ścierali. Mimo wszystko starali się co sił jeden po drugim przekrzyczeć tłum, który w dodatku jeszcze, skoro tylko spostrzegł, że możnaby choć słowo dosłyszeć, natychmiast zaczął chórem dać w trąbki najrozmaitsze, nawet automobilowe i wygwizdywać futuryistów z sceny. Hałas był piekielny, a jednak policja, która rzędami całymi w teatrze i poza nim była ustawioną, w niczem nie przeszkadzała i obydwom obozom pozwoliła oryginalną i swobodną staczać walkę. Więc też po spuszczeniu kurtyny wszyscy śmiejąc się i weseląc wyszli z teatru.

Ciekawy dają obecnie dramat d'Annunzia „Gioconda“. Siły artystów znakomite, sala przepelniona zawsze. Jednakże odnalezienie prawdziwej Giocondy większą jeszcze wywołało ciekawość w Florencji.

Ulice całe były przepelnione publicznością, dążącą do muzeum i ścisk taki, że dotrzeć do obrazu wielkiego Leonarda niepodobna, mimo że szeregi policjantów nawoływały do porządku.

Znakomita też tu bawi artystka japońska, Hanako z swą trupą. Wizytowała też i domy polskie i obiecała przyjechać znów do Polski, tym razem do Poznania, aby wystąpić na cel Towarzystwa ludoznawczego.

Przepiękne odbywamy w słonecznych dniach wycieczki, mianowicie do Fiesole, skąd pyszny widok na wille d'Annunzia i Böcklina, to znów do Certosy, gdzie gościnni mnisi zwiedzających wyborną krzepią wódeczką i czekoladą własnego wyrobu. Nie brak też tu polskich pamiątek, jak w S-ta Croce wspaniała pomnik Czartoryskich w S. Marco i w Certozie Poniatowskich, a na Montebello tablica pamiątkowa Lenartowicza. Za staraniem literata p. Kociemskiego ma także powstać i tablica na cześć Słowackiego, który dwa lata mieszkał w Florencji na via Banchi i stworzył tu Kordjana.

Wartoby też wspomnieć o drobnych, lecz ciekawych zwyczajach florenckich, jak o przeprowadzaniu umarłych na cmentarz, zazwyczaj wieczorem, w asyście misericordiji, to znaczy, grona ludzi z towarzystwa, którzy z przykrytymi twarzami i z pochodniami w ręku wygląd mają tajemniczy jakby z czasów inkwizycji.

Dalej, prawdziwie oryginalne mają tu oświetlenie przy wozach, bo woźnica trzyma w ręce tylko zwykłą świeczkę, okoloną tutką papierową, konie zaś przykryte są płachtą czerwoną, aż na głowę całą, kilka zaś dzwonek przypiętych do dyszla, niezgorzej na nerwy działają.

W obecnej porze śniegu spadło tu sporo; cu-

dny widok sprawia ten kontrast zabielenych wzgórz, spoglądających na różami zasłane ogrody.

Nam się to jakby wiosną wydaje najpiękniejszą, zziębnięci zaś włosi zasłaniają się po uszy wełnianymi szalami i ogrzewają się skaldiną (oznacza to garnuszek zazwyczaj kamienny z pałakiem, w którym węgielki z krzewów różanych żarzą się przez dzień cały). Ile jest osób w domu, tyle skaldin roznieca się codzień rano, a wieczorem wstawia do łóżka.

Co poniedziałek na placu Mentona pełno widzisz wózków naładowanych workami bielizny, którą z całej Florencji na wieś wywożą do prania. A pełno obok anglików, uwieczniających wózki te w swych aparatach fotograficznych.

Zaciekawi też to może niejednego, że wychodzi tu od niedawna pismo polskie „Polak nad Riwiera“. Niewątpliwie gazeta ta będzie nicią spajającą rozproszonych rodaków. Bo nigdzie wśród innych narodów, mianowicie zagranicą, nie zauważysz takiego braku łączności jak właśnie wśród naszej kolonji. A mielibyśmy tyle tematów wspólnych do omówienia, moglibyśmy ulżyć niejednemu, podzielić się tem, co nas boli i tyle zrobić dobrego, gdyby wola nasza była silniejszą.

M. Leliwa.

## Halabardnik.

Epilog z „Szopki warszawskiej“ Or-Ota.

*Już skończone przedstawienie,  
Będzie pustka wnet na scenie,  
Lat ubiegłych znikną mary  
I ucichnie rynek stary.*

*Zbudziłyśmy je z mogiły,  
Aby chwilę tutaj żyły  
I piosenką dawnej chwały  
Wam do serca zapukały.*

*Może piosnka nieuczona  
Zbudzi echo w głębi łona,  
Może nawet żal obudzi,  
Że już niema tamtych ludzi.*

*Gdzieś tam jeszcze żyją może,  
W starej izbie, w starym dworze,  
Wśród facjatek i podstryszy  
Dożywają dni swych w ciszy.*

*Halabardnik wiele przeżył,  
Mógłby prawić przez noc całą,  
Ażby spać się odechciało,  
Ażby duch, jak dzwon, uderzył.*

*Insi ludzie, inne życie  
Z laurów, z uschłych róż okowiem...*

*Ale, czego nie dopowiem,  
To się sercem domyślicie...*

## ZE SCENY.

Teatr Polski: SZOPKA WARSZAWSKA *Or-Ota*.

Prawdziwe święto dla młodzieży i dorosłych zgotował nam znany i ceniony w Warszawie autor. Z pereł uczucia i blasków poezji uwił pieśniarz wieńiec wonny i złożył go na progu stajenki Chrystusowej. Z ust białego anioła spłynęła dobra nowina i radosnem swem echem rozproszyła smutek współczesnej chwili. A równocześnie połączyły się z nią tony serdeczne polskiej tradycji, naszych kołęd i ja-

światy legend i dziejów, by wraz z aniołami i husarją skrzydlatą ukłęknać u żłobka i wskrzesić w sobie dawną pobożność i wiarę, co grzała i rozpalała ojców naszych. I powtarzamy za Żółkiewskim:

Tym rycerzem, Chryste, byłem,  
Wojennikiem Boga,  
Mężnym hufcom hetmaniłem  
Pobijałem wroga.  
A gdyś kazał, to z pokorą  
Szeptać modlitw słowo,  
Za Twą wiarę pod Cecorą  
Nałożyłem głowę.

W barwnym korowodzie przewijają się na sce-



„Szopka warszawska“, odsłona II. Stajenka na tle kolumny Zygmunta i zamku.

selek, wspomnienia drogie naszych bohaterów i dźwięki naszej najstarszej pieśni, która wiodła zwycięskie hufce w bój grunwaldzki.

Czysta i prosta poezja *Or-Ota* jest jak:

...owa gwiazda, co tak lśni  
U jasných niebios proga,  
Ta wróży sercom nowe dni,  
Gdy ludy w światłość będą szły  
Od ziemskich nędz — do Boga —

i z niej to płynie miłość do dzieci i ludu, z niej bije gorące ukochanie naszych podań, strojów i typów, z niej dźwięczy uwielbienie dla króla Jana, Żółkiewskiego, Czarnieckiego i księcia Józefa. A rzuwne i serdeczne wiersze poety otwierają sobie serca młodzieży i wkradają się do dusz starszych, aż wraz z nimi popłynęliśmy, dzieci i dorośli, w za-

nie sukmany i kerezje ludowe, trzej królowie fantastyczni, pastuszkowie z różnych stron Polski, srogi Herod, djabeł z widłami i śmierć z kosą, a najmłodszy widzowie patrzą z zapartym oddechem na jasełka, tak drogie i miłe duszy dziecięcej.

Aż kiedy już legł wróg pokonany, kiedy sprawa Boża odniosła zwycięstwo nad złością ludzką, przed oczyma naszymi otwiera się szopka warszawska.

To Stare Miasto stolicy Polski, to umiłowane mury dawnej Warszawy, znane i drogie rozkochanemu w nich poecie! Z jakim wzruszeniem mówi o nich:

Noc taka jasna i tak pogodna,  
Od sniegu srebrna, zdrowa i chłodna,  
Prastare domy światłem ogarnia  
Księżyc, co płynie, jakby latarnia,  
A one stoją pod Boską strażą  
I coś tam sobie bajają i gwarzą.

Ktoś w górze okno otworzył małe,  
Patrzy w uliczki od śniegu białe,  
Ktoś z uchylonej furty wygląda,  
Na coś tam czeka, czegoś pożąda,  
Radby zobaczyć, radby posłuchać  
Przeziębłe serce rozgrzać, odchuchać...

Więc tym, co tęsknią za piosnki łaską,  
Trzeba pokazać szopkę warszawską,  
Proste figurki, proste piosenki,  
Dawno przycichłe znajome dźwięki,  
Co jeszcze dzwonią w ginącym echu,  
W jasnym spojrzeniu, w dobrym uśmiechu.

Ukazują się żywe marjonetki: Hono-  
ratka, węgier, szewczyk, kielbaśnik, latar-  
nik, kominiarczyk, piaskarz, żyd Icek i  
chłop, huzar i Małgorzatka, dziaduś —  
wszystko świetnie podchwycone typy sta-  
rej Warszawy; nie brak i Napoleona, co  
oddaje hołd rycerzowi polskiemu:

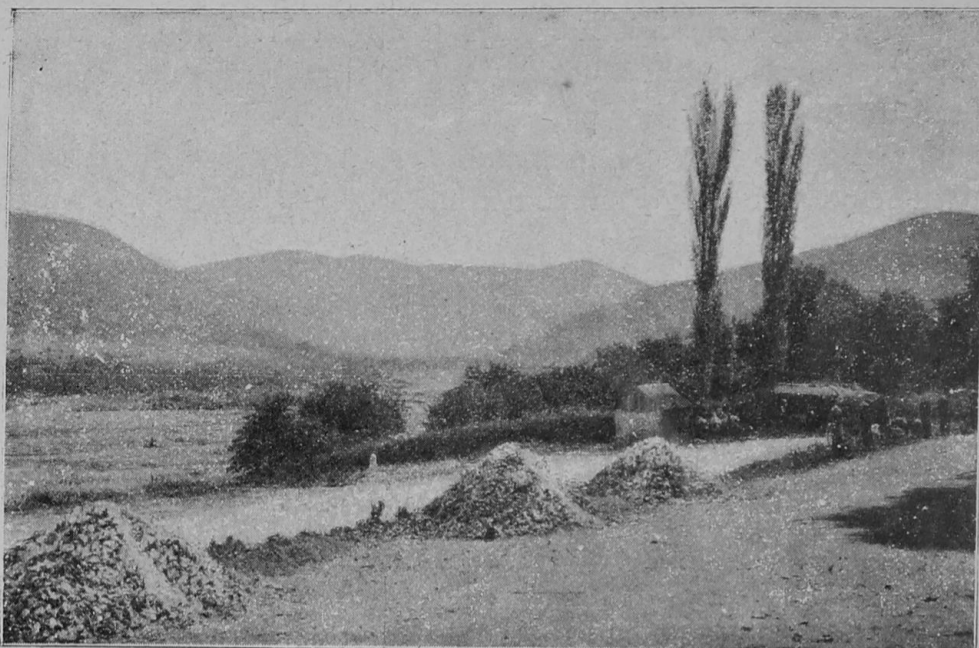
I ciebie jeszcze, coś zginął w Elsterze,  
Ujrzyć chcę, złożyć mą pośmiertną cześć;  
Wierny do zgonu, wodzu bohaterze,  
Z serc tobie wieniec, a nie z kwiatów spleść  
Za śmierć ofiarną pod kulami dział!  
I za ten honor, coś go Bogu zdał!...

I komuby na widok tych barwnych postaci  
i na dźwięk tych serdecznych rymów nie zabiło  
serce goręcej, komuby nie zapłonęły oczy wdzię-  
cznością dla pieśniarza, który tak gorąco umiał prze-  
mówić do wyobraźni i duszy?

Trzeba przyznać, że dla spotęgowania wrażenia  
pospieszyła z pomocą scena. Teatr Polski dał pełen  
wyraz sztuki, plastyki i techniki, pierwszorzędni  
artyści najlepszą swą grę, dyrekcja najwyższą umie-  
jętność w urządzeniu wystawy i dekoracji, reżyserja  
ośniewającą pomysłowość i sprawność.

Stajenka betleemska na tle kolumny Zygmun-  
ta i zamku, Stare Miasto w śnieżny wieczór zimowy  
w rysunku W. Drabika, gdy dzwon św. Jana na Anioł  
Pański woła, kostjumy, ubiory i mundury, wielbłąd,  
słoń i koń prawdziwy, hetmani jakby z  
portretów wyjęci — tę całość, barwną w  
śliczne obrazy i fantastyczne pomysły,  
w wierne, historyczne sylwetki i stroje  
uzupełniała doskonała gra aktorów i potoc-  
zysty wierz autora.

Kogoż tu wymienić na pierwszym  
miejscu, czy Józefa Węgrzyna, co był  
i wzniosłym aniołem i tęskniącym góra-  
lem i niezrównanym Ikiem Popyckiem  
z Starego Miasta, tworząc trzy odrębne,  
świetnie pomyslane typy? Czy Szoberta,  
co wstrząsał grozą jako Herod i wdzię-  
cznie polecał się jako latarnik warszaw-  
ski z pod Karasia? Czy Sosnowskiego, co był  
i dzielnym Czarnieckim i poczciwym hala-  
bardnikiem, wskrzesicielem „inszych ludzi  
i innego życia“? Wszyscy, w oryginalnych



Wojskowa droga gruzińska.

swych sylwetkach bez wyjątku wywiązali się doskona-  
le z sympatycznego swego zadania, grając, jakby się  
sami bawili, jakby tworzyli szopkę dla samych siebie.  
Wymieniam jeszcze Leszczyńskiego, dziarskiego kra-  
kowiaka i jakby malowanego huzara, Jaracza w roli  
mazura i Napoleona, Dybizbańskiego, krwiożerczego  
sługę Heroda i uprzejmego węgry z olejkami, Zel-  
werowicza, wspaniałego Jana III i dzielnego szewa-  
ca, Junoszę w roli djabła, dzwonnika i chłopka Zie-  
lińskiego, sierotkę i piaskarza wdzięcznie śpiewają-  
cego Tatarkiewiczówny, Żółkiewskiego i Pana Twar-  
dowskiego Gutnera, Śmierć Kruszewskiego, kielba-  
skarza Jarmińskiego, kominiarczyka Janeckiej, Ho-  
noratkę Winiarskiej, Małgorzatkę Starskiej i in. Ster-  
reżyserji dźwignął świetnie M. Węgrzyn, zarazem  
wyborny dziaduś z ostatniego obrazu.

Tańce: krakowiaka, mazura i oberka odtańczo-  
no z werwą i zapałem, huzarja stapała dzielnie  
i śpiewała „Bogurodzicę“ z powagą i przejęciem,  
tłumy poruszały się swobodnie, a nad poetycznymi



Karawan-seraj w Tyflisie.

obrazami unosiła się dźwięczna muzyka H. Opieńskiego, tworząc wraz z poezją Or-Ota i grą artystów prześliczną, na zawsze pamiętną całość. Teatr Polski w rocznicę swego powstania w piękny sposób uwieńczył tak drogą nam chwilę.

T. J.



## Z KAUKAZU.

### Polowanie na koziorożce w górach Kaukaskich.

(dok.)

Myśliwy rozmyśla nad tem, w jaki sposób podejść bliżej, gdy nagle z głębi parowu dolatują uszu jego dźwięki metaliczne. Zrozumiał, że z wielkiej wysokości odłupany kamień potoczył się na dół. Nadśłuchuje dalej i domyśla się reszty: koziorożce pod wodzą swojego starego przywódcy ciągną w dolinę. Po przejściu kilkuset kroków natrafia na takie miejsce, z którego stromo wprawdzie, ale jednak dość wygodnie zejść można na dół. Doszedłszy do dość szerokiego załomu, zaczyna się rozglądać w ciemności, ale na razie nic nie dostrzega w dolinie. Nic nie słyhać, nic nie widać. Wolno zatem podchodzi naprzód, wtem odrywa się kamień z pod jego nóg i spada w głębie. Równocześnie zauważył ruch na małym zboczach górskim, więc przykłada lunetę i widzi uciekające w popłochu koziorożce. Same młode sztuki pędzą wielkimi skokami po ścianie skalnej i zatrzymują się, nie dostrzegłszy nic podejrzanego swojemi bystreimi świecami. Spokojnie zaczynają znów żerować.

Ale gdzie się podział stary kozieł-przewodnik? Naprawdę szuka go przez szkła lunety.

Oto on! Potężna postać jego stała jak gdyby z kamienia wykuta, a tak się nie różniła od skały, że łatwo możnaby jej nie dojrzeć wcale. Pomimo to kozieł wciąż patrzy w stronę myśliwego; widocznie powziął jakieś podejrzenie.

Dopóki w tej pozycji stać będzie dłużej, dopóty nie może być mowy o podeściu bliżej choćby nawet na łokieć. Kozieł oddalony jest od człowieka na 400 m. Czy się odważyć na strzał? Jeżeli chybi, cały mozół kilkotygodniowy obróci się w niwecz.

Z nadzwyczajną uwagą opuszcza lufę strzelby na mały kłoc skalny i za moment pada strzał, wywołując grzmiące echo w górach. Czy kula trafiła?

Wściekły stuk i szum wywołany uciekającym stadem, zagłuszył wkrótce to echo, i rzecz dziwna! Kozieł-kierownik ucieka w odwrotną stronę ku dolinie, za nim zaś podąża kilka zaledwie sztuk. Wszystko to skryło się za grupą skał.

Myśliwy podnosi się z ziemi i czuje ból w wszystkich członkach. Wskutek nadmiernego wysiłku, nastąpiła reakcja, która go zmusza usiąść na

kilkanaście minut na ziemi, i dopiero po takim wypoczynku wolno wśród ciemności zapadającej nocy zaczyna kroczyć ku dolinie. Z lewej strony usłyszał stuk spadających z góry kamieni, domyślił się też, że przybliży się ku niemu Inarko, ażeby go obarczyć całym szeregiem zasłużonych wymówek za strzał chybiony. Zdaniem Inarka koziorożec raz na zawsze jest stracony. Nie podzielał myśliwy tego zdania i tłumaczył mu, że przecież kozieł nie uciekałby wprost ku dolinie, gdyby nie otrzymał rany. Właśnie to sprawiło, iż nie mógł piąć się w górę, lecz skrył się za pierwszym lepszym wzgórzem skalnym.

Zapadła już prawie zupełnie noc ciemna, gdy przechodząc około wzgórza, na którym po raz ostatni widziano kozła, doszli do zbocza kamienistego wprost skały. Przyspieszają kroku, dążąc wciąż wzdłuż doliny, i oto tuż przed sobą widzą jakąś postać upiorną, która wśród tej ciemności nocnej olbrzymich wprost wydawała mu się kształtów. Nie namyślając się ani chwili myśliwy przykłada fuzję i strzela, dopiero też wówczas, gdy to coś nieznanego padło na ziemię, zrozumiał, skąd się wziął ten upiór nocny. Koziorożec, którego tylna łopatką była zupełnie zdruzgotana, czując zbliżające się niebezpieczeństwo uniósł się na przednie nogi i w tej postaci stanął przed nimi. Drugi strzał padł od przodu, a był tak celny, że koziorożec nie tak łatwo poddający się śmierci, kilka razy tylko zatrzepotał przednimi nogami i... król gór skonał u stóp człowieka.

Do niedawna nie wiedziano wcale, ile gatunków koziorożców żyje na Kaukazie i jakie przestrzenie obejmuje kraj, przez nie zamieszkanym. Zoologowie nieraz już starali się odpowiedzieć na to pytanie, trudność jednak cała polega na tem, że rogi koziorożca w całej swojej budowie zmieniają się ogromnie stosownie do wieku zwierzęcia. Sposób życia każdego pojedynczego kozła zmienia się również w różnych okresach jego lat. Następnie co najmniej 75 proc. wszystkich rogów koziorożców nie posiada wybiegających na długość ostrzy, które charakteryzują najlepiej cały kształt tych rogów.

Podług tych różnic w rogach, mniej zaś co do budowy całego ciała, obecnie uznają znawcy i myśliwi pięć gatunków kóz dzikich na Kaukazie, zamieszkujących rozmaite jego strony.

Od nich różni się znacznie koza Bezzoarska przebywająca na południowym wschodzie, w okolicach Araratu.

Najprawdopodobniej u wszystkich koziorożców kaukaskich zmienia się barwa w miarę przybywających lat. Do piątego lub szóstego roku barwa ta jest jasna, czerwono-brunatna, później zaś zwolna przechodzi w ciemno szarą. W miarę lat również rośnie u kozła coraz gęstsza i silniejsza broda, która ciemniejsze ma zabarwienie od skóry.

## Kronika polityczna.

Po kilku latach namiętnych walk politycznych, po okropnych nadużyciach tego rodzaju jak zamordowanie namiestnika Galicji, ś. p. Andrzeja hr. Potockiego, napad rusinów na uniwersytet i zastrzeżenie profesora polskiego w politechnice lwowskiej — nastąpiło wreszcie porozumienie pomiędzy bratnimi niegdyś narodami. Czy na zawarcie zgody w Galicji wpłynęło odkrycie blizkiego przymierza rusinów z hakatystami pruskimi, czy wdanie się w sprawę zatargu metropolity Szeptyckiego, czy wpływ Wiednia i cesarza Franciszka Józefa, czy wreszcie wzgląd na kraj, pogrążony w powodzi klęsk i nędzy — trudno określić ściśle. Prawdopodobnie wszystkie te wpływy i względy działały razem i spowodowały najdalej idące ustępstwa w sprawie reformy wyborczej ze strony polaków oraz przyjęcie ich przez rusinów. Nie obyło się przytem bez zastrzeżeń tych ostatnich co do samodzielnego uniwersytetu rusińskiego; i w tym względzie polacy dać musieli zadawalniające przyrzeczenia.

Fakt zgody nie wywołał powszechnej radości w kraju: zbyt długo trwała walka i nieufność, zbyt świeże są rany zadane polakom przez rusinów. Wyszowali sobie zakończenia sporu namiestnik, marszałek i metropolita; posłowie rozeszli się w przeświadczeniu, że walka weszła już na tory historyczne i w danych warunkach zakończyć się musi podziałem Galicji na część rusińską i polską. Aby zawieszenie broni nie było zbyt trwałem, o to postarają się wpływy postronne, zwłaszcza serdeczni przyjaciele rusinów w Berlinie.

W każdym razie zgoda co do podziału mandatów poselskich i zmiany ustawy wyborczej w Galicji jest faktem dokonany. Niebawem zbierze się sejm krajowy i poufnym naradom da zatwierdzenie publiczne. A wtedy może wreszcie posłowie pomyślą także o ruinie ekonomicznej Galicji, o sprawie wychodźstwa, o ciężko doświadczonym ludzie.

Nie udało się natomiast rządowi habsburskiemu pogodzić czechów i Niemców w Pradze i Wiedniu co do podziału granic językowych. Od dłuższego czasu parlament tracił czas daremnie na bezowocnych kłótniach obu stronnictw; gabinet hr. Stuergha podejmował coraz to nowe starania, aby wynaleźć drogę porozumienia i wprawić w ruch maszynę państwową. Zabiegi te nie odniosły pożądanego skutku; posiedzenia parlamentu zawieszono i rząd bez zgody przedstawicielstwa ludowego na mocy § 14 wyznacza potrzebne fundusze na wydatki monarchji.

Na Bałkanie od tygodnia nie zaszły wypadki ważniejsze. Powszechną uwagę zwraca podróż prezesa ministrów greckich Venizelosa, do dworów europejskich, dotycząca granic południowej Albanji w Epirze oraz sprawę wysp Egejskich. Przytem ciągle jest mowa o nowych związkach i przymierzach na Bałkanie, co nie przeszkadza dalszym zbrojeniom Grecji, Turcji, a podobno także i Serbji. Turcja pragnie zatarg co do wysp Egejskich załatwić bezpośrednio w Atenach, naco znów rząd grecki z względu na korzystne dla niego uchwały konferencji międzynarodowej przystać nie chce.

W Niemczech stronictwo wojskowe zupełne odniosło zwycięstwo. Zaburzenia w Alzacji, zakończone sromotnym wyrokiem sądów w Strasburgu, pomimo odważnego wystąpienia parlamentu, spowo-

dowały ustąpienie władz cywilnych, namiestnika Wedla i sekretarza stanu Bulacha. Władze te objawiły zgodność zapatrywań z ludnością i potępiły postępowanie bezwzględne wojska. Pomimo protestu Bawarji co do przywłaszczenia sobie w rzeszy niemieckiej przewagi z strony Prus, cesarz Wilhelm II przyjął dymisję władz cywilnych w Alzacji i dał tem samem poznać, że autonomję kraju, należącego do całej rzeszy, uważa tylko jako formalność, której uwzględniać nie potrzebuje. Nie wróży to dobrze o stosunkach wewnętrznych Niemiec, zwłaszcza że zmienny jak chorągiewka kanclerz pogodził się już z szowinistycznym następcą tronu i z hakatystami pruskimi w jedną dmie trąbkę.

Lech.

## Z blizka i daleka.

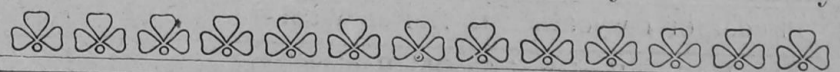
**Warszawska kooperatywa mieszkaniowa**, dążąca do uniezależnienia lokatorów od wyzysku właścicieli kamienic i umożliwienia im zamieszkiwania w domach nabytych na rzecz spółki, rozpoczęła swą działalność. Na zebraniu organizacyjnem uchwalono nabycie na własność kooperatywy kamienicy przy ul. Chmielnej. Każdy z członków winien posiadać co najmniej jeden udział na 250 rb.; największa zaś suma udziałów pojedynczego członka nie może przewyższać wartości zajmowanego przez niego mieszkania. W mieście mogą na podstawie ogólnych ustaw t-wa tworzyć się grupy członków, nabywających dla siebie kamienice; dla nich przygotowuje zarząd kooperatywy odnośne warunki oraz regulamin wewnętrzny.

Żywe zajęcie się ogółu lokatorów kooperatywą mieszkaniową rokuje temu wielce pożądanemu zrzeszeniu szybki i pomyślny rozwój.

**Chrześcijańskie tow. ochrony kobiet** obchodziło uroczystość poświęcenia nowej siedziby przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie. Mieszczą się w niej ognisko rodzinne św. Anny i schronisko dla przejezdnych kobiet. Aktu poświęcenia dokonał ks. arcybiskup Kakowski.

**Tragedja zimowa.** Tymi dniami, niedaleko Madrytu, drogą publiczną, daleko od wszelkich zabudowań ludzkich, w głuchem polu, szła uboga kobieta i prowadziła troje dzieci. Wiał silny wiatr północny, a temperatura spadła poniżej zera. Do wsi, do której dążyła, było jeszcze kilkanaście kilometrów. Zmierzch zapadał, dzieci skarżyły się, że są zmęczone i już iść nie mogą, matka ostatnich sił dobywała; tak dotarła do krzyża, który stał przy drodze. Sądząc, że nie zaszkodzi trochę odpocząć, usiadła pod krzyżem i dzieci przytuliła do siebie. Ale one płakały dalej, że im okropnie zimno, więc matka zaczęła zdejmować z siebie ubranie, żeby niem dzieci ogrzać. Nazajutrz rano przejeżdżający ludzie drogą znaleźli pod krzyżem prawie nagą nieżywą kobietę, a obok niej troje zmarzniętych nieżywych dzieci, okrytych jej ubranem.

**Sara Bernhard**, znana artystka francuska, której występy mimo jej podeszłego wieku budziły zachwyt w Anglii i Ameryce, dyrektorka teatru swego imienia w Paryżu, otrzymała order legji honorowej. Odznaczenie to nader rzadko otrzymują artyści i kobiety.



## Sprawa o śpiew.



Eugenja Kobylńska.



Matylda Rozenberżanka.

Za śpiewanie pieśni „Boże coś Polskę“ w kościele św. Katarzyny w Wilnie izba sądowa tamże skazała dwie studentki polskie, Kobylńską i Rozenberżankę, na 20 względnie 30 dni twierdzy. Sprawa ta posiada charakter zasadniczy, gdyż pieśń wymieniona według wykazu charakteru prawnego nie należy do śpiewów zakazanych. Na tej podstawie złożono apelację do senatu w Petersburgu, który zapewne zwolni obie oskarżone od odpowiedzialności.

## Paweł Déroulède.

W Niceji zmarł wybitny polityk i gorący patriota francuski, Paweł Déroulède. Urodzony w Paryżu w roku 1846 jako młodzieniec porzucił pracę literacką i wstąpił do wojska walczącego przeciwko prusakom w r. 1870—71. Na polach Sedanu zapłacił ojczyźnie podatek krwi, a równocześnie pisał płomienne wiersze, zagrzewające francuzów do walki za honor kraju. Sam walczył w pierwszych szeregach; wzięty do niewoli i wypuszczony w Wrocławiu na wolność wrócił ponownie do armji, ofiarując swe usługi do najniższych potrzeb. Był prawdziwym patriotą czynu. Z dwu tomów jego ognistych strof drugi, wydany w roku 1875, był uwieńczony przez akademję francuską.

W r. 1882 utworzył ligę patriotów i zajmował się dorocznym urządzaniem obchodów na cześć Alzacji i Lotaryngji, których utraty nie mógł przeboleć.

Zawikłany w spisek Boulanger'a musiał opuścić Francję w r. 1899; wrócił do niej w r. 1905 na mocy ogólnej amnestji. Odtąd gorącym był zwolennikiem przymierza francusko-rosyjskiego. W końcu oddał się całkowicie na usługi ligi patriotycznej. Odbywał podróże po kraju i zagranicą, wszędzie głosząc natchnione mowy o niepodzielności Francji i potędze miłości narodu.

W dniu 7 grudnia r. z. odsłonięto w Champigny pomnik na cześć poległych w r. 1870—71. Déroulède musiał z powodu nagłego zasłabnięcia przerwać swą mowę i udać się na kurację do Niceji, gdzie na trumnie wiernego syna ojczyzny, choć osobistego przeciwnika, złożył wieniec prezydent Francji oraz król hiszpański.

## Szarada.

Piękną, wdzięczną *trzecia czwarta*  
Lecz nie o niej mówić chciałem,  
Lecz o *calej*, która parta  
Głodem, nędzą, ciemnym szalem,

Zwiększa stale swe rozmiary:  
Lud porzuca swe zagony,  
Jedzie młody, jedzie stary,  
Hen! na morza, w obce strony.

Wszystkim żal jest tych rodaków,  
Żądzą blasku złota gnanych,  
Wędrujących na wzór ptaków,  
Z gniazd rodzinnych, ukochanych.

Tam *wstecz* drugie dni spływają,  
Jakby rybak wśród mielizny,  
Tęskniąc marzyć poczynają  
O powrocie do ojczyzny!...

Całość słowo obce, przecie  
Aż zbyt znane w naszym kraju,  
Czują je rodacy w świecie  
Znosząc nędzę — zamiast raj!

## Rozwiązanie szarady z Nr. 3/4 „Ziarna”

L I T E R A

nadesłali: H. Piskorski z Pabjanic, K. Kłosowski z Warszawy, A. Mocek z Grodziska, L. Segert z Łyszkowic, Fr. Grosser z Białegostoku, Sz. Gorczyński z Wólki Kon., A. Kucewicz z Tuczyzna, K. Dąbrowski z Skarżyska, M. Piekarska, J. Wiśniewski, W. Wiatrowski z Warty.

Pierwsze dwie osoby zechcą zgłosić się po odbiór nagrody w formie książki do Administracji „Ziarna”.

## Od Administracji.

Do numeru niniejszego (6) dołączamy jako bezpłatny dodatek № 3 „ŚMIECHU”, dwutygodnika humorystyczno-satyrycznego.

## Odpowiedzi Redakcji.

WP. Piotrowi Guz. w Kurowie. № 1 „Ziarna” i № 2 „Śmiechu” wysłaliśmy. Okładkę albumową dostarczymy, skoro otrzymamy dostateczną ilość zamówień, razem z rycinami za I-szy kwartał.

WP. M. Wojcik. z Kopc. Pisma takiego nie znamy. Nie zawiera go także podręcznik nam przystępny.

WP. Alf. Kopl. Zagadka zbyt łatwa. Prosimy o trudniejszą. JMC. X F. Szczerb. w Brześciu Lit. Za życzenia tak serdeczne bardzo dziękujemy. Dążeniem naszym będzie spełnić należycie nasz obowiązek.

WP. E. Nowak. w Dębian. Prenumeratę całoroczną otrzymaliśmy. Rozwiązanie nie jest trafne.

WP. Wł. Mick. w Turku W. Za dobre rozwiązanie szarady dajemy dwie nagrody w formie książek. Otrzymują je jeden prenumerator z Warszawy, drugi z prowincji w miarę pierwszeństwa w nadesłaniu rozwiązania.

## TREŚĆ N-ru 6.

Karuawał. — Z „Szopki warszawskiej“ Or-Ota, wiersz — Polska sztuka plastyczna III. — Piotr Jaxa Bykowski: Pamiętniki włóczęgi. Myszuress (c. d.). — Wieści z Florencji — Hala-bardnik, wiersz Or-Ota. — Ze sceny. — Z Kaukazu (dok.). — Kronika polityczna. — Z bliska i daleka. — Sprawa o śpiew. — Paweł Déroulède. — Szarada. — Od Administracji. — Odpowiedzi redakcji.

Ilustracje. E. Schweninger: Ciche szczęście. — Fr. Żmurko: Pieśń wieczorna. — A. Piątkowski: Znalezienie Krzyża Św. — Eugenjusz v. Blaas: Tęsknota. — Szopka warszawska. — Wojskowa droga gruzińska. — Karawan-seraj w Tyflisie. — E. Kobylńska i M. Rozenberżanka.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO” wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50, kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna” w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.